

Pamiętam Nowosiólkę gwarną i wesołą

Wspomnienia Klementyny Szewczyk z domu Biernackiej (ur. 1931 r.) z dzieciństwa oraz wczesnej młodości w Nowosiółce Koropieckiej, utrwalone 9 lutego 2018 r. i 4 stycznia 2019 r. przez Jana Biernackiego i Konrada Zaleskiego.

Opracowanie redakcyjne: Anna Zaleska

Było gwarno i wesoło

Nowosiółka była ładną wioską. Zimy były ciężkie, ale za to wiosną, latem i wczesną jesienią było pięknie. Do dzisiaj pamiętam, jak młodzież zbierała się przy tłoce, gdzie wypasano krowy. Jak tam było wesoło i gwarno. Niestety wraz z nastaniem wojny wszystko się zmieniło.

Prosto z dachu na wojnę

Rodzice mieszkali w domu bliźniaku z Koryznami. Tato zaczął budować własny dom koło łąki. Nawet cieśle przyjechali z gór. W 1939 r. tato zszedł z dachu, który pokrył blachą i poszedł prosto na II wojnę światową. Żołnierze niemieccy niedaleko zrobili sobie strzelnicę. Naboje trafiły w nasz dach. Przyszli Niemcy i zaczęli ściągać tę blachę i wrzucać na wóz. Mama interweniowała u niemieckiego oficera, który kazał im przestać. Jednak po pewnym czasie wrócili i ściągnęli ją do końca.

W 1939 r. tato trafił do niewoli. Wraz z innymi jeńcami pod eskortą przechodził przez Monasterzyska. Wykorzystał moment nieuwagi strażników i wskoczył w jedno z podwórek. Zaczął stukać do drzwi kamienicy Władka Bazana, którego znał z Nowosiółki Koropieckiej. Zresztą to byli koledzy (od red. brat Władka - Józef Bazana nadal mieszkał w Nowosiółce Koropieckiej). Otworzyła mu żona Władka i powiedziała, że boi się i lepiej, żeby uciekał. Gdy tato wracał spotkał Władka Bazana i ten zabrał go do domu i ukrył. Potem dał mu cywilne ubranie i na drugi dzień tato wrócił do nas do domu. Potem znowu poszedł na wojnę.

Chodziliśmy z Lusią do kościoła

Przed kościołem mieszkała rodzina żydowska. Mekel Mendel, jego żona Rechla i córka Lusia, która była w moim wieku. Znałyśmy się z Lusią dobrze. Pamiętam, jak ze szkoły razem chodziłyśmy do kościoła. Lusia nie musiała iść z nami, bo mogła przecież wracać do domu, ale towarzyszyła nam. W kościele modliła się razem z nami, tylko nie żegnała się tak jak my. Mieszkał z nimi brat Rechli - Gucio. I to właśnie z nim podczas wojny ukrywała się Rechla w zaroślach, za kościołem przy drodze w stronę Puźnik. Na ogrodzie mieliśmy suszarnię do tytoniu. Kiedyś zimą, w nocy do naszych drzwi zapukał Gucio, był strasznie zmarznięty, bo spał w tej suszarni. Tato rozpałił ogień w piecu, zawinął go w koce i dał mu gorącej herbaty. Nie mieliśmy żadnej piwnicy, ani strychu, więc nie mogliśmy go schować. Po kilku godzinach Gucio poszedł. Potem dowiedzieliśmy się, że zginął wraz ze swoją siostrą. To było na początku wojny. Lusia zginęła pod koniec wojny. Poznała jakiegoś chłopaka i wspólnie ukrywali się. Natomiast Mekel Mendel przeżył wojnę, bo zabrali go do wojska

Rzeź w Puźnikach

Wraz ze zbliżającym się końcem wojny, wzrastał strach przed banderowcami. Nieraz Ukraińcy mówili, że w Nowosiółce nic nam nie grozi, bo tu były rodziny polsko-ukraińskie, ale to co zaczynało się dziać potwierdzało, że tylko chcieli uspić naszą czujność. Najpierw banderowcy dokonali mordu w Zalesiu Koropieckim (od red. 7 lutego 1945 r.). Zginął tam też mieszkający w

Nowosiółce Jan Rogalski. Jechał tego dnia wozem wraz z najstarszą córką. Zatrzymali go banderowcy. Jego córka zdążyła uciec w kukurydzę. Wraz z innymi spalili go w suszarni. Gdy banderowcy napadli na Puźniki (od red. w nocy z 12 na 13 lutego 1945 r.) z mamą i siostrą miałyśmy być na warcie aż do 24.00. Ciotka Heńka miała być po nas. Koryzna, co kiedyś mieszkał z nami po sąsiedzku powiedział byśmy poszły spać, że jak coś będzie się działo, to da nam znać. Naokoło było słyhać takie podstrzeliwanie, jakby banderowcy nawoływali się. Było już po 24.00, jak Koryzna obudził nas i powiedział, byśmy uciekali, bo palą się Puźniki. Spali u nas także Milewscy i Chmielewscy, którzy mieszkali pod lasem i bali się zostać w swoich domach. Razem z mamą prawie wszystkie rzeczy wynieśliśmy do suszarni w ogrodzie. Dach suszarni był pod dachówką i była szansa, że nie spłonie. Nagle moja mama zorientowała, że mnie nie ma. A ja po prostu leżałam przysypana pod tymi poduszkami i pierzynami. Wszyscy uciekliśmy do lasu. Moją sparaliżowaną babcię ciągnęli na kocu ponad 1,5 km. W lesie leżeliśmy w takim rowie. Dzieci płakały, krowy ryczały i było bardzo jasno. Gdyby banderowcy weszli wtedy do tego lasu, wszystkich by zabili. Rudolf Biernacki i inni mężczyźni poszli do Puźnik. Jeszcze, jak leżeliśmy w rowie, to powiedzieli mi, że moje dwie kuzynki zabili. Potem od bliskich dowiedzieliśmy się, co tam dokładnie się wydarzyło i kto wyszedł cało z tej rzezi. Uratowała się ciocia Stankowska, która była zakonnicą przy kościele w Puźnikach. Moje dwie kuzynki zastrzelono, gdy uciekały wraz z ciocią Katarzyną. Ciocia przeżyła, bo podczas strzałów upadła na ziemię. Podeszli do niej banderowcy i chcieli zabrać jej buty (miała skórzane oficerki). Jednak banderowiec nie mógł ściągnąć tych butów. Drugi powiedział, by odciąć je razem z nogami. Ale tamten jeszcze raz spróbował i zdjął te buty. Ciocia leżała obok swoich zastrzelonych córek na śniegu, boso przez całą noc. Obok niej upadła podstrzelona młoda kobieta z niemowlakiem. Zdążyła jeszcze przed śmiercią powiedzieć do niej, by wzięła dziecko. Potem to dziecko wychowała jakaś rodzina w Prudniku. Jeden z synów cioci przeżył, bo schował się w beczce.

Na drugi dzień został wykopany wspólny grób dla wszystkich ofiar. Pochowano tam czterdzieści kilka osób. Pozawijano ich jedynie w prześcieradła. Tylko wujek zbił trumny dla dwóch swoich córek i jeszcze ktoś zrobił trumnę dla swojej żony. Trzeciego dnia poszliśmy na pogrzeb. Szliśmy na skróty i zobaczyliśmy przykryte prześcieradłem zwłoki. Mama podniosła prześcieradło, a to był dekarz, który robił nam dach.

Wyjazd do Polski

Po pogrzebie w Puźnikach mama zaprzęgła konia do wozu, zawiązała krowę i pojechaliśmy do Koropca. Najpierw mieszkaliśmy z całą rodziną tj. babcią i ciotkami w jednym pokoju. Pamiętam, jak spaliliśmy przy samych drzwiach. Potem przenieśliśmy się do innego miejsca, aż za drugą cerkwią. Tam było lepiej, bo byliśmy same. Rodzina, u której mieszkaliśmy miała dwóch synów. Nigdy ich nie widziałam. Sąsiedzi tylko, powiedzieli nam, - *ale trafiliście, przecież oni są w bandzie*. Rano nasz koń zawsze był spocony. Widać, że ujeżdżali go przez noc, ale nie zabrali go. Potem pojechaliśmy na stację i czekaliśmy na pociąg do Polski. Przypominam sobie, jak podczas kolejnych postojów mówili, że wagon jest zagrożony i będą odczepiać. A my mieliśmy cały kosz samogonu, który razem z nami napędziła mama. Tato ją tego nauczył. Jak dojechaliśmy do Polski, kosz był już pusty, na dnie został tylko miód. Wagon, gdzie były siostry taty odczepili zaraz za Tarnopolem i obrabowali ich. Oni prawie nic nie mieli, to buty im pozabierali.

Tato wracał z wojny przez Poznań. Spotkał kolegę z Puźnik, który powiedział mu – *A ty wiesz, że tam twoja rodzina jest na stacji*. Trzymałam wtedy siostrę na kolanach i słyszałam tylko, jak ktoś krzyczał: Biernaccy, Biernaccy, gdzie Biernaccy. Ale wtedy pomyślałam, że Biernackich przecież dużo było. Na całe szczęście to był nasz tato. Od razu załatwił nam kryty wagon. Pamiętam, jak na

jednym postoju tato poszedł napaść krowę. Pociąg odjechał bez taty i krowy. Nie pamiętam, jak potem tato do nas dołączył, ale potem już byliśmy zawsze razem.



Spacer po Jasieniu. W środku Maria Malwina Biernacka (mama) z domu Zdanowicz. Z lewej Pani Maria Biernacka (siostra), a po prawej Klementyna Szewczyk.